

ęłó Tekst ten napisałem w roku 1983 w podparyskim miasteczku Sartrouville, w którym osiadłem z rodziną na siedem lat. Opisuje on w jaki sposób w Stoczni Gdańskiej znalazłem się ja oraz inni eksperci, którzy, jako Komisja Ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, doradzali Lechowi Wałęsie i MKS-owi.

Waldemar Kuczyński.

## DROGA DO STOCZNI GDAŃSKIEJ.

W sobotę 23 sierpnia 1980 r., wracając koło szóstej po południu do domu, zauważyłem w uliczce niedaleko bloku pomarańczowego Fiata z czterema mężczyznami w środku. Zauważyłem go dzięki nawykowi popatrywania za siebie i zwracania uwagi na samochody ruszające za mną, jadące za mną zbyt długo lub stojące z ludźmi w środku, jak ten. Bezpieka! Ale na kogo ta przyczajona "pluskwa" poluje? Na mnie? Ja wracam bez "ogona". Więc może nie na mnie? W tych latach ruch opozycyjny był już tak duży, że nie znaliśmy się wszyscy między sobą i w osiedlu mógł być ktoś z naszych, o kim nie wiedziałem. Miąłem samo- chód i nikt z niego za mną nie poszedł, ale to jeszcze nie był test. Śledzono mnie dostatecznie często, by niektóre metody rozpoznać, a mieszkając tu od lat, dobrze odkryłem sposób rozlokowania obserwatorów i samochodów, kiedy nakładano mi obstawę. W miejscu, skąd widać klatkę schodową, stawiano "piechura" z radiotelefonem, który zawiadamiał, czy wszedłem do domu i czy z niego wychodzę. Piechur był niewidoczny, ale był, bo gdy wyjeżdżałem samochodem, wówczas z tej uliczki, jakbyśmy byli związani nicią, wyjeżdżał pierwszy samochód ekipy inwigilacyjnej. Drugi wyjeżdżał z uliczki równoległej, dwieście metrów dalej wzdłuż ruchu ulicznego. Podjeżdżając do niej, widziałem go zwykle tam stojącego. Nikt więc teraz nie musiał wysiadać i iść za mną.

Podchodząc do domu, nie wiedziałem, że tego dnia pojawił się szczególny powód nałożenia mi obstawy. Oczywisty był powód ogólny: potężny strajk na Wybrzeżu i rosnące z godziny na godzinę napięcie w kraju; nadzieja i odwaga, ale także niepokój i niepewność. Nie wydawało mi się jednak, aby z tego tylko powodu zaczęto mnie śledzić. Choć więc nie wątpiłem, że ta mandarynka włoskiej licencji jest na usługach bezpieczeństwa, to nie przejąłem się jej obecnością. W tych zresztą czasach gierkowskiej koegzystencji z opozycją posiadanie obstawy nie przestraszało tak, jak na przykład po roku 1968. Wtedy mogło być nawet początkiem długawej odsiadki w więzieniu, podczas gdy od roku 1976 - poza kilkoma uwięzieniami na parę miesięcy - można było oczekiwać rewizji, przesłuchania i ewentualnie "posadzenia na cztery osiem" (48 godzin). Do takich represji już przywykliśmy i właściwie zostały one przez opozycję zaakceptowane jako element niepisanego traktatu o współistnieniu. Do czterdziestu ośmiu godzin nie awanturowano się o zatrzymanych, a posiada- nie w biografii takich kontaktów z SB było nawet uważane za atrybut dżentelmena czy damy opozycyjnej.

Po wejściu do mieszkania Halina - moja żona - popatrzyła na mnie tak, że od razu domyśliłem się ważnej wiadomości. Spojrzała wesoło, więc i wiadomość była dobra. I jeszcze taka mina, gdy patrzy się na kogoś ważnego. "Waldek, wzywa cię stocznia" - powiedziała trochę z namaszczeniem, które miało być żartobliwe, ale zabrzmiało poważnie. Waga informacji odebrała żartobliwemu tonowi żartobliwą wymowę. Miałem

wrażenie, że jest dumna, że wezwanie "Stamtąd" trafiło do naszego mieszkania. Widziałem radość, że przekazuje mi tę informację pierwsza. Wiadomość była tak szokująca, że zderzyła się z moją wyobraźnią. Wiedziałem, że Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek dotarli do Stoczni, ale przecież oni pojechali w misji symbolicznej, żadnej innej. Mieli zawieźć strajkującym "List 64", ogłoszony 20 sierpnia i przez swoją obecność podkreślić solidarność z nimi, zadeklarowaną w Liście. Tak tę misję pojmowałem i sądziłem, że tak pojmowali ją inni. I pewno słusznie, choć po tych pragmatycznych głowach mogły snuć się nadzieje dalej idące. Ale w chwili wyjazdu chyba nie konkretne pomysły i zamiary.

- Nie wygłupiaj się Halina, tylko mów o co chodzi - powiedziałem zniecierpliwiony.

- Nie wygłupiam się, mówię serio. Był Szymon Jakubowicz i powiedział, że jutro rano lecicie do Gdańska samolotem rządowym, z gwarancją bezpieczeństwa i że masz o ósmej przyjechać do Artura Hajnicza, u którego będzie na ten temat zebranie.

Stałem obok stołu, opierając o niego rękę i byłem ogłuszony. Ogłuszony zalewem odczuć, takich myśli embrionalnych, które dopiero muszą się ukształtować, a tu nie mogły, bo było ich za wiele naraz. Byłbym nieszczerzy mówiąc, że zew z Gdańska wywołał we mnie jedynie ładne reakcje. Pierwszą był strach. "Nie jedź tam, nie jedź" - krzyczał we mnie jakiś głos. Bałem się narastającej lawiny wydarzeń, nie pierwszy zresztą raz od wybuchu fali strajkowej w początku lipca. Bałem się o siebie i rodzinę. Ale także o "Polskę KOR-owską", Polskę niezależnej prasy, wydawnictw, kursów naukowych, łagodnej represji policyjnej. Polskę, w której realizował się unikalny układ koegzystencji władzy z ruchem opozycyjnym, wcale nie miałym, wpływającym na poczynania rządzących, odświeżającym życie publiczne, wyprostowującym ludzi, ale za słabym, by samodzielnie zagrozić systemowi. Polskę, której pięć lat było dla mnie wtedy najlepszym okresem w życiu. Ta delikatna równowaga rozpadła się teraz z dnia na dzień. Polska KOR-owska odchodziła w przeszłość. Więcej, miałem poczucie, że ginie, że nadchodzi zawierucha, która pochłonie wszystko, co stworzono w ostatnich latach i zostawi gołe pole, na którym za jakiś czas ktoś znów zacznie coś majstrować.

Wkrótce po strajku lubelskim odbyło się zebranie części KOR-u i jego współpracowników na temat sytuacji i działań. Powiedziałem wtedy, że byłoby najlepiej, gdyby strajki wygasły, ponieważ wstrząsnęły już systemem dostatecznie, by wytrącić go z marazmu, a jeszcze mu nie zagroziły. Jeżeli natomiast to się stanie, będziemy mieli dramat i regres zamiast postępu. Moje poglądy nikogo oczywiście nie przekonały, a z perspektywy sam uważam je za błędne. Dramat co prawda przeżyliśmy, ale w rzeczywistość krajową i świadomość społeczną wszczepione zostało wiele nowych pierwiastków, które nie pozwolą cofnąć społeczeństwa do zniewolenia, jak za Gomułki i Gierka. Tak to oceniam dziś. Wtedy jednak moje pragnienia kierowały się dość wyraźnie pod prąd nadchodzącej rewolucji. I z takim podkładem psychicznym dosięgnęło mnie wezwanie z Gdańska. Zapraszało do oka cyklonu w chwili, gdy pragnąłem znaleźć spokojną przystań. Teraz musiałem się przełamać, bo wiedziałem, że tam pojedę. Od początku, jak tylko usłyszałem wiadomość. To było wezwanie nie do odrzucenia. To był rozkaz, poparty sankcją moralną, gorszą od wszystkich niebezpieczeństw centralnego wtedy miejsca w Polsce, jakim była sala BHP w Stoczni Gdańskiej. W tej potrzebie

musiało się stanąć. W potrzebie setek tysięcy strajkujących na Wybrzeżu i milionów w głębi kraju, dojrzewających do strajku z godziny na godzinę. W potrzebie ludzi, którzy odważyli się upomnieć o rzeczy ważne a nieobecne w realiach krajowych, o wolność słowa, suwerenność społeczeństwa i demokratyzację państwa. O te wartości, których brak kaleczy, bo skazuje na życie z kompleksem niewolnika. O to, czego nieobecność doświadczałem sam od dwudziestu lat, gdy popadłem w konflikt z systemem. Odmowa byłaby zaprzaństwem, kapitulacją wobec lękowej mentalności, jaką tak zwany socjalizm realny zaszczerpia w każdym, kto żyje w jego zasięgu, przyznaniem, że to, przeciw czemu byłem, jest nieprzezwyciężalne nie tylko na zewnątrz, lecz we mnie samym, przyznaniem w sytuacji decydującej. Testem. Oblać go, znaczyło oblać dwadzieścia lat własnej przeszłości i resztę, która została.

Pamiętam z grudnia 1970 roku zdjęcie opublikowane w „Żołnierzu Wolności”. Para młodych, sympatycznych ludzi. Ona w kurtce i spodniach marynarskiego kroju. Przez rękę przewieszona jakieś odzienie, mógł być to jej płaszcz. On bez spodni, w marynarce i wychodzącej spod niej koszuli. W ręce pewno te spodnie i także płaszcz. Pod zdjęciem podpis: "Osobnicy z marginesu społecznego z towarami zagrabionymi w sklepach gdańskich". Patrzyłem na nich jak urzeczony. Naszą świadomość w 1970 roku określała pamięć o zdławionym powstaniu robotników poznańskich. Parę miesięcy po nim przyszedł Październik 1956 roku, ale zostało przekonanie, że we frontalnym, siłowym starciu z władzą się przegrywa. A ci z Wybrzeża wygrali i to było wydarzenie z trudem mieszczące się w głowie. Przez to zderzenie faktu ze świadomością robotnicy Gdańska i Szczecina jawili się nam w Warszawie, niespokojnej ale bojaźliwej, ciągle tkwiącej przed Grudniem, jako ludzie z innego, lepszego materiału. Podziwialiśmy ich czyn, aleśmy ich nie widzieli. Tkwili za dymną zasłoną prasy i telewizji. I oto teraz patrzyłem w twarze pary gdańskich "kosmitów". Nie wiem, kim byli i w jakich okolicznościach ich schwytano. Dla mnie nie byli rabusiami, lecz twarzą bałtyckiej rewolty. W tę sobotę, pół pokolenia od tamtych wydarzeń obserwowanych z daleka, wzywano mnie, bym dopomógł jej "drugiej zmianie". Twarze z „Żołnierza Wolności” stały mi w oczach. Gdzieś pod warstwą lęku poczułem nieprawdopodobną satysfakcję, że "to" trafiło na mnie, że wezmę udział w tej walce.

Wieczorem jechałem do Hajnicza. Ubecka mandarynka o dziwo została na miejscu. Myślałem o robocie, która nas czekała, o roli, jakiej nikt nie zagrał w historii socjalizmu realnego na tej ogromnej połaci kuli ziemskiej, a myśmy mieli to zrobić. Sądziłem wtedy, że będąc wszystkimi sympatiami po robotniczej stronie, staniemy się jednak swoistymi mediatorami w konflikcie. Idea ekspertów strajkowych wisiała co prawda w powietrzu już przed strajkiem gdańskim. Nie pojawiła się dzięki inteligencji, lecz przez to, że ruch strajkowy, dojrzewając politycznie, przechodząc od rewindykacji płacowych do bardziej skomplikowanych postulatów ekonomicznych i instytucjonalnych, napotkał barierę kwalifikacji. Odczuł potrzebę fachowej porady. Pierwsi zgłosili ją robotnicy z Ursusa, chcący utrwalić strukturę strajkową w postaci niezależnej Komisji Robotniczej. Wśród postulatów Komisji był dodatek drożyzniany, koncepcja automatycznego weryfikowania płac zależnie od wzrostu kosztów utrzymania. Zbigniew Bujak, szef strajkowy "Ursusa", chciał mieć ją skonsultowaną z ekonomistami. Eksperci czekali więc już w przed-pokoju rewolucji. Ale wtedy byłem bardziej pod wpływem logiki "Listu 64" z 20 sierpnia, w którym autorzy, solidaryzując się na gruncie wartości z robotnikami, na płaszczyźnie

pragmatyczno-politycznej apelowali do obu stron o zapobieżenie eskalacji konfliktu i wzywali rząd do negocjacji z Międzyzakładowymi Komitetami Strajkowymi. List był więc w niektórych sformułowaniach wyrazem intencji mediacyjnych. To było oczywiste, ponieważ opracowany został przez środowiska TKN, DiP, KiK, które mniej lub bardziej zdecydowanie uprawiały opozycję wobec władz i systemu, lecz nie cechowały się radykalizmem. Postawy mediacyjne były więc tu popularne. Okazało się jednak szybko, że rewolucja w fazie strajkowej erupcji nie zgłasza zapotrzebowania na taką rolę, że w starciu dwu potężnych sił nie ma miejsca dla mediujących jednostek, choćby rozporządzały najwspanialszymi intelektami, że trzeba wybrać dla siebie stronę i dopiero wybrawszy ją, opowiedziawszy się za nią, zrozumiawszy granice swobody, można zrobić coś, by strony wyszły ze zwania kompromisem. Później, po powstaniu "Solidarności", mediatorzy odegrali pewną rolę w rozładowywaniu sytuacji konfliktowych. Największym sukcesem była akcja Stefana Bratkowskiego na rzecz uwolnienia Jana Narożniaka i Piotra Sapieli aresztowanych w końcu listopada 1980 r. w związku z powielaniem w lokalu Zarządu Regionalnego NSZZ "Solidarność" Mazowsze tajnej instrukcji prokuratora generalnego o metodach walki z opozycją. Inne mediacje miały drugorzędne znaczenie. Bardziej skuteczna była działalność ludzi kompromisu, identyfikujących się z którąś ze stron. To doświadczenie dopiero musieliśmy zdobyć. Zdobyliśmy je - jedni łatwiej, inni trudniej - znalazłszy się wewnątrz strajku, w polu działania jego praw i psychologii. Jacek Kuroń powiedział kiedyś, że tylko ten uważa, iż strajkiem można łatwo manipulować, kto nie widział go na oczy. Wtedy, w wigilię wyjazdu do stoczni, byliśmy jeszcze w kręgu nieco megalomańskiego mitu o skuteczności wpływania słowem - to znaczy instrumentem naszego środowiska - na świadomość i zachowania społeczne. Pierwsze doświadczenia ze strajkiem nauczyły nas pokory i zrozumienia swego miejsca.

Myślałem i o tych "gwarancjach bezpieczeństwa" i "rządowym samolocie". Trochę to uspokajało. Trochę, bo jeśli nawet takie zapewnienia dano, to mogły być od ręki cofnięte. Ale nie to mnie zajmowało. Gwarancje dla ludzi jadących pomagać drugiej stronie, dla ludzi od lat z systemem skłóconych, których jeszcze dwa dni wcześniej zatrzymywała Służba Bezpieczeństwa i robiła rewizje w ich mieszkaniach, to był fenomen nie z tej socjalistycznej rzeczywistości, świadectwo zmian zapowiadających postawienie świata, w którym żyliśmy, na głowie. Po prostu bajka. Od perspektyw ponurych podziemi Pałacu Mostowskich do gwarancji bezpiecznej podróży pod skrzydła Wałęsy i to wszystko na przestrzeni dwu dni. Mózg się gotował.

U Hajnicza zastałem poza nim: Tadeusza Kowalika, Bohdana Cywińskiego, Andrzeja Wielowieyskiego, Szymona Jakubowicza, Ryszarda Bugaja, Adama Kerstena. Wszyscy byli pod wrażeniem wiadomości, którą tego dnia przekazał telefonicznie Kowalikowi Bronisław Geremek ze stoczni gdańskiej, choć nie wiem, czy reagowali podobnie jak ja, czy inaczej. Geremek powiedział, że konieczny jest przyjazd do stoczni kilku osób, które dopomogłyby MKS-owi w rokowaniach z Komisją Rządową, jako eksperci. Wzywani byli oprócz Kowalika: Cywiński, Wielowieyski, Jadwiga Staniszkis i ja. Jadwigi wśród nas nie było, bo tego dnia wyruszyła samodzielnie samochodem do Gdańska. Geremek powiedział też, że potrzebny jest prawnik i dał w tej sprawie wolną rękę Kowalikowi. Jego wybór padł na docenta L. K. i okazał się niefortunny. Po przyjeździe do stoczni L. K. zorientował się, że mamy być doradcami strony robotniczej, a nie mediatorami. Dotarło do niego - jak i do nas - że postulat pierwszy, stworzenia Wolnych Związków

Zawodowych jest najważniejszy. Nie zamierza się od niego odstąpić, nie stanowi on elementu przetargowego do odpuszczenia. W tej sytuacji L. K. zrezygnował. Zastąpił go z powodzeniem przybyły wkrótce prof. Jerzy Stembrowicz, a także prof. Andrzej Stelmachowski i mecenas Jan Olszewski. Bronek dodał, że mamy gwarancję bezpieczeństwa i zarezerwowane bilety na poranny samolot w niedzielę. Wiadomość o rządowym samolocie okazała się bajką, słowem, w jakie obrasta informacja, przekazywana z ust do ust. Wkrótce okazało się, że bajka jest bogatsza. O tym, jak doszło do telefonu Geremka, dowiedziałem się już w stoczni, a dalszych szczegółów dopiero podczas wieczornych odtwarzań wydarzeń w Jaworzu, obozie internowania. Robiliśmy to w stałym gronie. Opowiadali Mazowiecki i ja, a po przywiezieniu w końcu stycznia 1981 r. Geremka i Andrzeja Celińskiego, także oni. Wyciągali z nas zwierzenia Jerzy Jedlicki, Andrzej Drawicz, Aleksander Małachowski i Stefan Amsterdamski. Gdy opuszczałem Jaworze, doszliśmy do konfliktu rejestracyjnego w listopadzie 1980 r., zyskując sobie przy okazji wśród kolegów, nie uczestniczących w tych wykopaliskach, ironiczną i nieszacowną ksywę "Biura Politycznego". Ale to się przydało, odświeżyło pamięć. Pozwoliło rozkleić trochę faktów sprasowanych przez ogrom wydarzeń tego wielkiego półtorarocza.

Mazowiecki i Geremek dotarli do stoczni bez większych kłopotów w sobotę 23 sierpnia rano. Mieli jakieś drobne trudności ze strażą robotniczą przy wejściu, ponieważ stoczniovcy starali się zapobiec przenikaniu do wewnątrz osób niepożądanych, a oni byli nie znani. Potem zaprowadzono ich do Wałęsy. Powiedzieli, że przyjeżdżają z Warszawy i przywożą list 64 intelektualistów, solidaryzujących się ze strajkiem. Lech przyjął ich bardzo życzliwie, lecz sam list nieco zbagatelizował. Powiedział coś w tym rodzaju: "Tak, tak my już wiemy o tym liście z «Wolnej Europy», ale co moglibyście zrobić dla nas tak konkretnie?"

Od czwartku 21 sierpnia sytuacja się zmieniła. Tego dnia Barcikowski podjął rozmowy z MKS Szczecin na temat tamtejszych 36 postulatów. W piątek rano „Głos Wybrzeża” doniósł o zastąpieniu Pyki, dotychczasowego przewodniczącego Komisji Rządowej w Gdańsku, przez Jagielskiego. Jagielski próbował jeszcze krótko taktyki swego poprzednika: rozmawiania z Komitetami Strajkowymi poszczególnych zakładów, ignorowania MKS i rozbijania solidarności strajkujących, ale było oczywiste, że ta taktyka się załamała. Szesnaście zakładów rozmawiających dotąd z Pyką, wróciło do MKS. Faktem, który, jak się wydaje, o tym przesądził, była historia komunikatu z separatystycznych negocjacji tej siedemnastki i Komisji Rządowej. W kluczowym fragmencie uzgodnionego tekstu były sformułowania bardzo niejasne, dające się od biedy zinterpretować jako zgoda na nowe związki zawodowe. Dla negocjujących z Pyką był to główny powód zadowolenia i legitymacja uzasadniająca ich secesję z MKS. Komisja Rządowa zobowiązała się przygotować na końcowe posiedzenie ostateczny dokument, wprowadzając co najwyżej korekty stylistyczne. Kiedy jednak miało dojść do podpisu, owa stylizacja zaszokowała i wzburzyła strajkujących. Punkt pierwszy brzmiał teraz dokładnie jak obietnice Gierka sprzed paru dni. Było to oczywiste nadużycie, świadectwo lekceważenia partnera i elementarnych reguł negocjacji, jaskrawy wyraz złej woli, jeszcze jedna obraza ludzi, dodana do tych nagromadzonych od lat i to w chwili, gdy powiedziawszy wreszcie dość, oczekiwali szczególnie uczciwości intencji i poszanowania własnej godności. O dalszych rozmowach nie było mowy. Pykę

zdymisjonowano, lecz trudno powiedzieć, czy dlatego, że stracił wiarygodność u strajkujących, czy dlatego, że nie zadowolili mocodawców, obiecując za dużo w punkcie pierwszym. Myślę, że chodziło raczej o to drugie. Stał się w oczach strajkowej publiczności uosobieniem aparaczyka, chcącego ich "wykolegować". Jego odejście powitano z radością i skwitowano natychmiast dowcipem, że "Wałęsa chodzi po stoczni i sobie pyka, a Pyka chodzi po Warszawie i się wałęsa". Nominacja Jagielskiego wzmocniła też strajkujących, których determinacja słabła wraz z przeciąganiem się braku widoków na uznanie MKS przez władze i rozpoczęcie z nim negocjacji. W czwartek objawy kryzysu psychicznego były tak wyraźne, że Wałęsa, przemawiając następnego dnia na Plenum MKS, stwierdził, iż "od wczoraj sytuacja trochę się skomplikowała, ludzie są zmęczeni, część chce wyjść. Wypuszczamy na 4-5 godzin do domu".1/ W piątek nadzieja odżyła, następny kryzys pojawił się prawie dokładnie w tydzień później. Perspektywę rozmów przyjęto powszechnie z ogromną ulgą, bo otwierała nadzieję na zakończenie strajku, zmniejszenie niepokoju i niepewności dających się już we znaki, a także była źródłem satysfakcji dla MKS, uznanego wreszcie za naczelną władzę strajkującego regionu i partnera. Wałęsa czuł to samo, ale oprócz tego duży niepokój i rozterkę. Doskonale rozumiejąc strajk i panując nad nim wiedział, że zbliża się decydujący etap batalii, rozmowy przy stole, wymagające nieco innych kwalifikacji. Sytuacja była dla niego zupełnie nowa, a odpowiedzialność ogromna. Nie czuł się wobec niej tak pewnie jak wtedy, gdy przemawiał do delegatów załóg czy publiczności przed bramą. Zwierając się nam, powiedział: "Wiedziałem dokładnie, co mam robić, dopóki nie zgodzili się rozmawiać. A teraz nie wiem i musicie mi pomóc". Potrzebował więc pomocy i stąd to pytanie do Mazowieckiego i Geremka. Dowód jego wrodzonych talentów politycznych, trzeźwej oceny własnych możliwości i umiejętności chwywania w lot okazji, korzystania z pomocy innych. Nie wiem, czy w tym momencie mieli oni już omówiony zamiar stworzenia Komisji Ekspertów. Bardziej prawdopodobne jest, że idea ta, tkwiąca, jak pisałem, w powietrzu, przybrała dopiero wówczas sprecyzowaną postać. Geremek odpowiedział mniej więcej tak: "Panie Lechu, mają się zacząć rozmowy z Jagielskim, może by powołać zespół ekspertów, który pomógłby MKS-owi w negocjacjach. Można by tu ściągnąć ludzi z Warszawy". Wałęsa bez wahania zgodził się, dał im wolną rękę w doborze osób, a także powiedział, że MKS załatwi z wojewodą gdańskim, Kołodziejskim, gwarancję bezpiecznego przyjazdu dla nas.2/ Kołodziejski dał takie zapewnienie, przypuszczam, po uzgodnieniu przynajmniej z Jagielskim, a być może z Warszawą. Przypuszczenie to opieram wyłącznie na znajomości logiki działania władz terenowych, które nie podejmują ważnych decyzji bez aprobaty zwierzchników. A to była ważna decyzja. Nie wiem, czy gwarancja dotyczyła Gdańska, Warszawy, czy też była nieokreślona. Do nas dotarła tak, jakby dotyczyła także Warszawy. Jakie mogły być motywy zgody na żądanie MKS - za chwilę.

Skład Komisji Ekspertów ustalili Mazowiecki i Geremek. Sądzę, że brali pod uwagę kryterium przydatności merytorycznej i politycznej bliskości. Chcieli, by Komisja była zwarta, potrafiła współpracować ze sobą i by w toku negocjacji nie doszło w niej do konfliktów. Będąc ludźmi opozycji, lecz i kompromisu, takich właśnie dobrali współpracowników. Wybrali głównie przyjaciół, do których mieli zaufanie. Wybór był w zasadzie trafny. Pracowaliśmy zgodnie. Jedyнным konfliktem, bez szczególnych następstw, był sprzeciw Jadwigi Staniszkis wobec propozycji zawarcia w porozumieniu klauzuli o uznaniu przez Związek kierowniczej roli PZPR w państwie. Ja znalazłem się

na liście, po- nieważ znał mnie Geremek z pracy Komisji Programowej TKN, a także dzięki książce "Po wielkim skoku", którą przeczytał Mazowiecki podczas urlopu, tuż przed wybuchem strajków i która zrobiła na nim wrażenie. Osobiście znaliśmy się wtedy słabo. Zaprzyjaźniła nas dopiero rewolucja, a szczególnie „Tygodnik Solidarność”.

Nie pamiętam dokładnie dyskusji u Hajnicza. Próbowaliśmy rozmawiać o tym, co jest możliwe do uzyskania i o naszej roli. Postulaty MKS znaliśmy słabo, najlepiej te najważniejsze, polityczne. Rozmowa ograniczyła się do nich. Zachowałem wrażenie, że krąg naszej wyobraźni pozostawał wyraźnie za biegiem wydarzeń. Tkwiliśmy w atmosferze Warszawy, gdzie ruch strajkowy po kilku krótkotrwałych kulminacjach przygasał, a równocześnie doszło do kontrataku władz przeciwko środowisku opozycyjnemu. Od 20 sierpnia po południu zaczęły się aresztowania członków i współpracowników KOR. zataczające coraz szerszy krąg. Układ sił oceniany z tego miejsca wyglądał inaczej niż dla naszych dwu przyjaciół w Stoczni. W tym miejscu i momencie wydawało się, że uzyskać można niewiele, natomiast wiele stracić. Tak sądziłem ja i Bugaj. Wątpię, by opinia pozostałych znacznie się różniła od naszej.

Punkt pierwszy postulatów gdańskich wyglądał na nieosiągalny. Jeszcze nie zobaczyliśmy tego drugiego realizmu, realiów strajku, determinacji ludzi dążących do stworzenia gigantycznej organizacji samoobrony przed samowolą wyobcowanego państwa, związku zawodowego pracowników komunizmu. Jeszcze tkwiliśmy wyłącznie w realiach geopolityki i systemu jako jej od- bicia. A w Polsce były już wtedy dwa realizmy. Tylko na razie oddzielone: jeden w pasie Wybrzeża, drugi w głębi kraju. Wydawało się, że to, co w tym punkcie można uzyskać, wybiega niewiele ponad wolne wybory do rad zakładowych i wejście do nich przywódców strajkowych. Do żadnych konkluzji nie doszło. Rano mieliśmy spotkanie na lotnisku. Po zebraniu pojechałem do Tadeusza Kowalika, u którego czekał na nas Karol Modzelewski. Czas Karola - mojego młodzieńczego idola, założyciela Klubu Politycznego na Uniwersytecie Warszawskim w 1962 roku - miał dopiero przyjść. Człowiek z jego temperamentem, talentami i biografią nie mógł znaleźć się poza ruchem. Ale tego dnia czuł się za burtą. "Tak bardzo Wam zazdroszczę, że tam jedziecie - mówił - nie macie pojęcia, jak chciałbym jechać z Wami". Miał chyba nadzieję, że zaproponujemy mu dołączenie i pewno żał, że tego nie zrobiliśmy. W opozycji drugiej połowy lat siedemdziesiątych dominował pogląd, że punktem odniesienia działań jest społeczeństwo, a nie władza, że główny cel to niezależna samoorganizacja społeczna poza instytucjami systemu, a nie namawianie rządzących do ich reform. Idea samoorganizacji dała świetne rezultaty. Lecz miała zły skutek uboczny, który do Sierpnia nie dawał o sobie znać, bo ruch, choć o wiele większy niż w przeszłości, był ciągle zbyt mały, aby wpływać na układ sił we władzach i ich poczynania. W rezultacie utrwaliło się przekonanie, iż wzgląd na odbiór naszych działań przez władze nie może być miarą ich celowości. Miarą była wyłącznie skuteczność w dziele samoorganizacji społecznej, a wprowadzanie do dyskusji tego drugiego elementu źle widziano. Stało się atrybutem ugodowca, człowieka bojaźliwego i tkwiącego ciągle w iluzjach rewizjonizmu. Po Sierpniu, w zupełnie nowej sytuacji, to przeświadczenie, schemat myślowy dobrze pasujący do poprzedniego okresu, zaciążyło moim zdaniem na polityce Związku i wielu jego wybitnych postaci. Lekceważenie procesów zachodzących we władzach pod wpływem własnych działań sprawiało, że integrowaliśmy je wokół pomysłu rozprawy ze Związkiem. Podczas gdy można było pogłębiać istniejące wśród

nich podziały, szukać sojuszników, partnerów dla wypracowania trwalszego modus vivendi lub choćby utrudniać zjednoczenie wokół pałki. Nie dzielaliśmy tej opozycyjnej mody ani przedtem, ani szczególnie w tych dniach dramatycznej zmiany sytuacji, burzliwego rodzenia się masowego ruchu zdolnego wstrząsnąć systemem, a nawet mu zagrozić. Karol również. Dlatego sędzę, że rozumiał i uznawał przyczynę naszej rezerwy. Wiedział, że jest nią jego przeszłość, jego nazwisko - symbol. Symbol bezkompromisowego przeciwnika systemu, ukształtowany wiele lat wcześniej i ciągle żywy w świadomości drugiej strony, mimo bardzo długiej pauzy w działalności społecznej. I mimo tego, że odmienił go upływ czasu, jak i nas. Na system patrzył jak przed laty, podczas dyskusji w Klubie Politycznym, lecz możliwości zmiany oceniał ostrożnie. Dał temu wyraz wcześniej, w liście otwartym do Gierka, krytykowanym ostro w opozycji za ugodowość. W tę sobotę był też ostrożny, może bardziej niż my. Rozumiał, że jego uczestnictwo w rokowaniach po stronie robotniczej, może dać dodatkowy argument propagandzie i tym we władzy, którzy chcieli rozstrzygnąć siłą. Sposób wyjścia z konfliktu był wtedy niejasny. Zależał nie tylko od potęgi strajku i zachowań strajkujących, ale także od układu sił we władzach, balansującego od konfrontacji do ugody. Nie wolno zatem było - poza absolutną koniecznością - robić niczego, co by mogło, choćby niewiele, przesunąć ten układ w złym kierunku. Dlatego z nami nie pojechał. Ponadto mieliśmy ograniczone uprawnienia w doborze ludzi. Decyzja zależała od Mazowieckiego i Geremka. Oni byli na miejscu i wiedzieli lepiej. W ocenie stawki do wygrania Karol był bardzo ostrożny. Nie pamiętali jego argumentacji ani konkretnych propozycji, które dał nam na piśmie. Była tam idea instytucjonalizacji ruchu strajkowego w postaci rad pracowniczych, ciał bardziej samorządowych niż związkowych, wyłonionych w drodze wolnych wyborów przez załogi. Postulat utworzenia Wolnych Związków Zawodowych uważał za nierealny, jak inni tkwiący poza klimatem strajku. Wśród osób, z którymi rozmawiałem w tych dniach, Jacek Kuroń czuł chyba najlepiej, cóż to za wiatr wieje z Wybrzeża i wygraną widział ogromną. A - przecież i on w ostatniej chwili zwątpił. "Mówiłem Adamowi - wspominał potem - by jechał do stoczni przekonać ich, że ten punkt pierwszy jest nie do uzyskania. Na szczęście obu nas zamknęli". Michnik zgodził się, lecz zamiast do stoczni powędrował do paki. Gdyby pojechał, nic by nie wskórał, a najpewniej zrezygnowałby po powąchaniu gdańskiego powietrza. Determinacja strajkujących w sprawie związkowej nie dawała nikomu szans opozycji. Można było polubić to, co "nierealne" - zresztą dawało się lubić od pierwszego wejrzenia - lub wracać do domu. Karol powiedział, że gdyby okazał się potrzebny, przyjedzie do Stoczni. Wezwania nie dostał, ale po paru dniach przyjechał sam, ciągle z bagażem warszawskiej atmosfery i tą propozycją rad pracowniczych. Wtedy nie odegrał jeszcze żadnej roli.

Noc miałem bezsenną, rano zmęczony ruszyłem na lotnisko. Do torby oprócz rzeczy osobistych wrzuciłem "Po wielkim skoku" jeszcze w wydaniu NOW-ej i rocznik statystyczny. Pomyślałem, że mogą się przydać w pracy i przy jakiejś pogadance dla strajkujących. Z rodziną pożegnałem się jak przed każdą podróżą. Halinie powiedziałem tylko, że wrócimy w chwale albo zasiedlimy na lata państwowe mamry, jeśli nie gorzej. Wsiadłem do taksówki. Ubecka mandarynka ruszyła za nami. A jednak!

Pod kasami biletowymi na Okęciu byli już wszyscy. Także Adam Kersten, który nas odprowadzał, ale nie mógł niestety widzieć, co stało się, gdy przechodziliśmy przez

kontrolę biletów i bagaży. Sądził, że odlecieliśmy bez przeszkód. W różnych miejscach sali biletowej grupki mężczyzn w sile wieku obserwowały nas bez specjalnego kamuflażu. Było ich chyba z piętnastu. Prawdziwa gwarancja bezpieczeństwa. "Kochani, mamy potężną obstawę" - powiedziałem zamiast dzień dobry. "Widzimy, widzimy - spokojnie" - odpowiedział Andrzej Wielowieyski, taszczący wielką czarną teczkę dokumentnie wypchaną. Na pewno roilo się w niej od kanapek przyrządzonych przez żonę. Z teczki Andrzeja zawsze można było wytargać jakąś kanapkę, choćby sprzed paru dni.

Była ubecja, biletów zarezerwowanych nie było. Więc je kupiliśmy. Trochę czasu upłynęło na wzajemnym taksowaniu się z tajniakami. Rozmowa nie szła, jakieś żarty, podenerwowanie. Wreszcie pora odlotu. Przechodziłem pierwszy przez kontrolę biletów. Pan w przyzwoitym garniturze, średnim wieku i bez wy- razu poprosił mnie do środka. Zażądał dowodu i otwarcia torby. Wziął "Po wielkim skoku", popatrzył, włożył z powrotem, "Panie Kuczyński, przykro mi, ale zmuszony jestem przerwać pański lot" - powiedział spokojnie. Na taki moment nigdy nie jest się przygotowanym, nawet go oczekując. Słowa, które wtedy padają, zawsze uderzają obuchem. Dowód zatrzymał i kazał przejść do poczekalni. Byłem przekonany, że powodem jest ta nieszczęsna książka i kłamię się najgorszymi słowami. Dopiero teraz wyszło, jak bardzo mi zależało na tym locie. "Ja tu będę kiblował, a oni polecą!". Bo byłem przekonany, że tamci polecą. A tu nagle z kabiny wychodzi Bohdan Cywiński. Okrągła gęba czerwona z podniecenia i też bez dowodu. "Zatrzymali?" - pytam. "Zatrzymali". Odetchnąłem. Przestałem oklinać siebie i książkę. W każdym razie nie ja jestem winien, lecz wojewoda Kołodziejski. Po chwili byliśmy znów razem. Bez dowodów. Cywil w towarzystwie milicjanta zaprowadził nas do małego pokoju w budynku lotniska. Milicjant usiadł przy drzwiach. Milczał. Byliśmy pod strażą. Czas płynął, samolot odleciał. Po przeszło godzinie wszedł cywil, który przedstawił się jako pułkownik MSW. Nazwiska nie pamiętam. Wysoka, smukła postać. Zapadłe policzki, twarz jak z filmów Bergmana, trochę niesamowita. Zapamiętałem dobrze jego słowa. Powiedział: "Proszę panów, Służba Bezpieczeństwa otrzymała informację, że siły antypaństwowe zdecydowały wykorzystać wasz lot dla swoich celów. Dlatego zostaliście zatrzymani. Ale teraz sytuacja się wyjaśniła i jeśli sobie życzycie, możecie kontynuować lot najbliższym samolotem. Dowody zaraz dostaniecie z powrotem, a bilety, jeżeli zdecydujecie się lecieć, proszę mi dać, to je przestemplujemy". Zadałem mu złośliwe pytanie: "Czy pan pułkownik może nam zagwarantować, że siły antypaństwowe nie wykorzystają dla swoich celów naszego lądowania w Gdańsku?" Popatrzył, uśmiechnął się rozumiejąco, pomilczał i ociągając się odpowiedział: "Tak... tak, to mogę panom zagwarantować. Oby lot państwa był w interesie tego kraju", a po chwili jeszcze: "Ten konflikt trzeba rozładować, koniecznie rozładować".

Wkrótce byliśmy wolni. W poczekalni podszedł do nas milicjant, uśmiechnięty, trochę podekscytowany: "Panowie, wiemy, że leciecie do Wałęsy, my naprawdę myślimy to samo, co oni, to już dłużej tak być nie może. Ci zresztą - pokazał ręką na ciągle obecnych tajniaków - też myślą to samo, tylko się jeszcze boją". On się przestawał bać, dla nas zaś, zaskoczonych mile tym niezwykłym gestem, był to dowód, że wyzwolenicza fala z Wybrzeża owiewa już niezdecydowaną Warszawę. Potem jakaś kawa w bufecie ciągle z taksującą nas obstawą, rozmowy, żartem, ale z nutą na serio, czy aby ten samolot z nami

wylądować w Gdańsku i wreszcie lot. Wstyd przyznać, pierwszy raz byłem w samolocie. Po niespełna godzinie podchodziliśmy do lądowania. Na obrzeżu lotniska spory rząd wojskowych namiotów. Obstawa obiektu, a pewno i fragment pogotowia konfrontacyjnego.

Gwarancja pułkownika z Warszawy działała. Śladu obstawy. Mogą jeszcze zwinąć po drodze, ale wygląda na to, że nas puścili do Lecha. Dlaczego? Samo przerwanie lotu nie przeszkodziłoby oczywiście w dotarciu do stoczni. Przyjechało tam wielu ludzi z Warszawy. Trzeba by więc nas aresztować, co też załatwiałoby sprawę połowicznie, bo najważniejsi - Mazowiecki i Geremek - byli już na miejscu. Skoro zaś formowała się przy MKS i tak instytucja "osób wspomagających strajk" (np. Konrad Bieliński wydawał „Solidarność”, Ewa Milewicz wykonywała różne prace administracyjne, Bogdan Borusewicz był faktycznym doradcą Prezydium, podobnie prawnik gdański Leszek Kaczyński itp.), to mógł być też wyłoniony z nich zespół ekspertów. Władze centralne najpierw w ogóle nie chciały rozmawiać ze strajkującymi, wyręczając się dyrekcjami zakładów, potem zgodziły się na negocjacje indywidualne z Zakładowymi Komitetami Strajkowymi, stawiając początkowo wstępne warunki polityczne odcięcia się od KOR i KPN. Potem z nich zrezygnowały. Wreszcie uznały MKS-y. Najchętniej oczywiście rozmawiałyby bez udziału "osób wspomagających", ponieważ mogłyby wtedy skuteczniej wykorzystać przy stole własną przewagę fachowych kwalifikacji, a także umiejętności manipulacyjne. Widać to najlepiej, gdy porównuje się teksty porozumienia gdańskiego i szczecińskiego. Rola osób wspomagających i ekspertów w Szczecinie była bez porównania mniejsza niż w Gdańsku. Porozumienie Szczecińskie, szczególnie w punkcie związkowym, jest o wiele mniej precyzyjne, dające się łatwiej wyinterpretować przeciwko stronie robotniczej, słabsze jako prawna gwarancja wywalczonych praw. A trzeba pamiętać, że ten gorszy wynik negocjacji mógłby być jeszcze gorszy gdyby nie to, że nawet na odległość, mimo przerw w łączności, Gdańsk przez kontakty osobiste działał usztywniająco na robotniczych negocjatorów w Szczecinie. On nadawał ton. Władze dobrze zdawały sobie sprawę, że Szczecin jest słabszym odcinkiem, na którym mogą ponieść mniejszą porażkę. Spektakularnym dowodem tej świadomości była sobota 30 sierpnia, kiedy przerwano połączenie telefoniczne z Gdańską, gdzie jeszcze trwały negocjacje, do Szczecina, gdzie już podpisywano porozumienie, podczas gdy łączność telefoniczna ze Szczecina do Gdańska działała. Myśmy słyszeli, co mówią oni, oni nie słyszeli, co my mówimy. Byłoby oczywiście błędem twierdzenie, że negocjacyjna siła MKS gdańskiego wzięła się wyłącznie z powołania Komisji Ekspertów. Nawet gdyby jej w ogóle nie było, Gdańsk byłby o wiele trudniejszym orzechem do zgryzienia dzięki temu, że wielu przywódców strajkujących miało doświadczenia z działalnością opozycyjnej w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, bardzo tam żywej. Ale i Komisja miała niewątpliwie swój duży udział. "Zapytałem Mazowieckiego - wspomina Lech Bądkowski w «Przypisach dnia» w „Zapisie”, pisząc o ekspertach - do kiedy możemy liczyć tu na ich obecność i pomoc (niepokoilem się, co będzie, jeśli wkrótce wyjadą; wnosili oni ład i rozwagę, tym samym zwiększali siłę MKS). Mazowiecki, spokojnym jak zawsze głosem, powiedział «Będziemy wam towarzyszyli do końca»". Lepiej byłoby więc dla władz, gdyby ekspertów i osób wspomagających zabrakło. Ale strajk ich potrzebował i ława dla tej kategorii ludzi tak lub inaczej zapełniłaby się w pokoju Prezydium MKS. Kalkulacja mogła więc być taka, że skoro i tak się to stanie, lepiej, by zasiedli na niej ludzie z umiarkowanego nurtu opozycji niż z nurtów bardziej

radikalnych. Słowa pułkownika MSW na lotnisku w Warszawie dowodzą, że robiono sobie większe nadzieje, niż chcieliśmy spełnić. Liczono pewno, że będziemy bardziej mediować i rozładowywać konflikt, niż zabiegać o prawa robotnicze i społeczne. Ale zarazem potwierdzają one powyższe przypuszczenia.

Byliśmy więc w Gdańsku. Strajk był wokół nas, choć jedyny dotąd dowód niezwykłego stanowiły te wojskowe namioty na skraju lotniska. Ale już się to czuło. Telefon z lotniska do stoczni. Zaraz po nas jadą. Przyjechały dwie taksówki pracujące dla MKS. Ruszyliśmy. Prawie normalnie. Ludzie chodzą, taskają torby, pchają wózki, jakaś para się całuje, dziadki siedzą na ławkach, psy biegają. Kręcimy głowami na prawo i lewo, szukamy łąpczywie tego strajku. Oczywiście jest. Im gęstsze zabudowania, tym wyraźniej dostrzegalny brak komunikacji i mały ruch samo- chodowy. Stacje benzynowe w Trójmieście nie sprzedają benzyny na skutek zablokowania przez władze. Nasi taksówkarze dostają przydziały ze źródeł MKS. "Panie - mówi kierowca - tu wszędzie rządzi MKS". Brzmi to trochę niesamowicie. Nigdzie go nie widać, a rządzi. Tylko te puste torowiska, w najdalszej perspektywie żadnego tramwaju. Jedyny ślad miasta zastygłego w proteście. Potem, już blisko stoczni, jeszcze nieruchome dźwigi. Takie ogromne ptaki, stojące od wielu dni bez ruchu. Paręset metrów przed bramą czeka Geremek. Wysiadają Kowalik, chyba też Wielowieyski i idą pieszo. My ruszamy. Mijamy dwa milicyjne radiowozy. Dowód, że władza nad tym miastem jest jeszcze ciągle podzielona. Przed bramą dużo ludzi, rozstępują się powoli, patrzą na ludzi w środku z rezerwą; nasi czy "Oni"? Uśmiechamy się, machamy rękami. Biorą nas za swoich, pewno za delegatów z kolejnego zakładu popierającego strajk. Brawa. Brama umajona, portrety papieża, na lewo kilkumetrowy krzyż i masa kwiatów. Znicze. Tu będzie pomnik. Straż strajkowa otwiera bramę, jeszcze krótka uliczka do budynku BHP. Wokół pełno stoczniovców. Niebieskie dreluchy, chodzą, siedzą na trawnikach, czytają ulotki, gazety, słuchają radia, leżą twarzami do słońca. Czekają.

Jest Tadeusz Mazowiecki, witamy się. "Zaraz Wam wszystko opowiem, to jest niesamowite, ale teraz idźcie się zarejestrować". Przy wejściu do budynku spory tłum. Przechodzimy się. W holu, gdzie szatnia, działa strajkowa administracja. Pliki bibuły, odręczna wywieszka: "Tu zgłasza się represje MO i SB". Do- stajemy kwitki do stołówki i przede wszystkim legitymacje strajkowe. Na mojej napisane: ekspert ekonomiczny MKS. Jestem ekspertem. Ale co to będzie znaczyć? marzec-kwiecień 1983

### **Przypisy:**

1/ Cytowane za: "Przebieg strajku okupacyjnego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w dniach 14-31 sierpnia 1980 r." (opr. Adam Orchowski) w: Almanach Punkt nr 12, Gdańsk. Wydawnictwo Morskie, grudzień 1980 r.

2/ Wśród tematów rozmów opracowanych 23 sierpnia (sobota) przez Prezydium MKS na rozmowy wstępne z wojewodą Kołodziejskim był punkt (4) brzmiący: "Możliwość dojechania do Gdańska ekspertów". W toku rozmów, które odbyły się tego dnia po południu w stoczni, Kołodziejski powiedział, że żadne przeszkody z dojazdem nie będą robione i poprosił o "imienną listę", żeby osobom zaproponowanym przez MKS rzeczywiście można było zapewnić swobodny dojazd". Patrz: Lech Bądkowski, "Przypisy

dnia (z dzienników gdańskich 14 VIII - 1 IX 1980)", Zapis nr 17, Warszawa 1981, wydanie londyńskie s. 79.

**Źródło:**

Waldemar Kuczyński, DROGA DO STOCZNI GDAŃSKIEJ (Wspomnienia eksperta MKS - część I), Aneks nr 31/1983 r., s.83-100 oraz "Agonia Systemu" - Presspublica 1996 str.50.